



Mirosław Derecki
ŚRODOWISKO LUBELSKIE (8)
PSYCHE I SOMA

Włodzimierza Chełmickiego tytułowano w środowisku lubelskim elegancko: seniorem tutejszych literatów, ale prywatnie mówiło się o nim po prostu - „dziadzio”. Ze szczególną lubością używała tego ostatniego określenia Maria Bechzyc-Rudnicka, jako że dziadzio Chełmicki był od niej starszy aż o osiem i pół miesiąca: urodził się w połowie maja 1887 r. Dziadzio kochał dobry teatr, dobre malarstwo i dobre konie; przed wojną miał w swoim majątku na Podlasiu piękną stadninę, która była jego oczkiem w głowie. Kiedy przyszła epidemia nosacizny i konie wyzdychały, przeżył to okropnie, załamał się nerwowo. Żona wywiozła go na dłuższą kurację do Włoch i tam dziadzio Chełmicki napisał sztukę pod tytułem „Kapitaliści”.

Ów akt twórczy pozwolił mu się pozbierać psychicznie i uodpornił na dalsze liczne niepowodzenia życiowe. Znosił je z prawdziwym stoicyzmem, pisząc kolejne komedie, które wciąż nie mogły dostać się na scenę, i z których - co tu ukrywać - po cichu się podśmiewano. On wierzył jednak niezachwianie, że zaświta mu w końcu raz jeszcze jutrzeńka powodzenia. Taka sama jak w roku 1921, kiedy Juliusz Osterwa wystawił w „Reducie” debiutancką sztukę Włodzimierza Chełmickiego, trzyaktową komedię „Wojna i miłość”. Sztuka była podobno bardzo dobra, ale spartolił ją początkujący reżyser, próbując odczytać dziełko na sposób „nowoczesny” i „niekonwencjonalny”. Po latach któryś z historyków teatru, pisząc książkę o „Reducie”, wspominał również o Chełmickim i jego „Wojnie i miłości”, konstatując, że oddano reżyserię w nieodpowiednie ręce i „zmarnowano autentyczny talent”. Dziadzio na starość często przytaczał tę opinię, delektując się z masochistyczną niemal rozkoszą owymi kilkoma zdaniem na temat swej niezawinionej klęski.

Jako człowiek od lat najmłodszych związany z ziemią, z przyrodą, Włodzimierz Chełmicki zachował na zawsze szczerłość spojrzenia, prostoduszność i otwartość mieszkańca wsi. Wiodło to czasami do zupełnie nieprawdopodobnych sytuacji czy wręcz towarzyskich skandali. Jednym z takich właśnie skandali zakończył się wieczór wspomnień teatralnych, który prowadziła w lubelskim klubie środowisk twórczych „Nora” znana aktorka Teatru im.

Osterwy, Eleonora Frenkiel-Ossowska. „Pani Ela” reprezentowała już w owych czasach typ i posturę arystokratki szlacheckiej sztuki teatru, księżnej sceny i widowni, matrony a zarazem społecznej aktywistki w wieku przedemerytalnym. Tamten pamiętny wieczór w „Norze” prowadziła z godnością i łaskawością królowej Elżbiety angielskiej. Był to popis sztuki aktorskiej w najlepszym „szekspirowskim” stylu.

Nieszczęście chciało, że jako pierwszy w dyskusji postanowił zabrać głos pan Chełmicki. Dziadzio znajdował się akurat w nastroju, rzecz by można, metafizycznym, myśli jego krążyły gdzieś w rejonach tajemnicy bytu, spraw ostatecznych, zagadnień życia i śmierci. Zaczął więc w sposób następujący:

- Drooguaaa paaani Eloooooo! Tak pani pięknie prowadzi ten wieczór wspomnień, że z prawdziwą łąką w oku wracam do tych niebotycznie odległych czasów, kiedy oboje byliśmy młoodzi...

- No, wie pan - przerwała mu dotknięta do żywego Eleonora Frenkiel-Ossowska - może to pańska młodość znajduje się w tej jakiejś niebotycznej dali... Ja, na przykład, nie czuję ale jeszcze, hm, hm, taka znowu stara...

- Paanni Eleonoro! - zareplikował dziadzio z franciszkańską słodyczą. - Pokory nam już się trzeba uczyć. wobec siebie i innych! Bo starzy, starzy już jesteśmy oboje! Na drugi brzeg Styksu przyjdzie nam wkrótce przepłynąć łódką Charona... Gdzież nam do młodych, gdzież nam do życia...!

- Pan, Panie Włodzimierzu, chciałby może mnie już widzieć o grobie! - zaczęła prawie krzyczeć Ossowska. - Ja sobie wypraszam! To nie jest dyskusja! To jest próba wprowadzenia nastroju Zaduszek do naszego towarzyskiego spotkania!!!

Na sali zrobił się tumult i zamieszanie. Ale ponad to wszystko wybijał się zachwycony głos dziadzia Chełmickiego, który wołał w uniesieniu:

- Starzy jesteśmy! Do grobu! Do ziemi, do ziemi!!!

Dziadzio, miał życzliwy stosunek do młodzieży artystycznej wszelkiego autoramentu ale szczególnie preferował, ma się, rozumieć, młodych adeptów pióra. Podkpiwano z niego, ale nigdy w sposób złośliwy, bo choć z upływem lat robił się coraz bardziej safandulowaty, rozbrajał swoją, serdecznością i swym ciepłym podejściem do świata. Nie był też przesadnie gadatliwy. Na spotkaniach z młodymi poetami czy prozaikami lubił zabierać głos, lecz zaznaczał przy tym zaraz na wstępie: - Pooozwólcie, i mnie, staremu, wypowiedzieć się. Dziesięć minut, z zegarkiem w ręku.

Po czym wyjmował z kieszeni kamizelki ogromny srebrny zegarek, kładł go przed sobą na stoliku i - nie zdarzyło się, żeby przekroczył ustalony czas.

Dziadzio Chełmicki wierzył święcie, że akt prawdziwie twórczy może zaistnieć tylko wówczas, gdy psyche będzie miała swój odpowiednik w somie. To znaczy: tak zwana wena

twórcza objawia się tylko wtedy, gdy artyście towarzyszy zarazem wena, hm, fizyczna. Ergo: u kogo kiepsko z potencją, ten nie ma co marzyć o sukcesach artystycznych. Zapewniał też rozmówcę konfidencjonalnie, że jeśli chodzi o niego samego w tym względzie, to: ho! ho!!!

Mieszkał pan Włodzimierz wraz z żoną Wandą, podobno uzdolnioną malarką-pejzażystką, w kamienicy przy ulicy Nowej, o kilkanaście metrów od Bramy Krakowskiej. Zajmowali jeden pokój w obrębie obszernego, zasiedlonego kilkoma rodzinami mieszkania. Pokój ten - z oknami wychodzącymi na ul. Nową - miał chyba ze trzydzieści metrów kwadratowych, ale nie sprawiał wrażenia wielkiego, zapchany był bowiem dokładnie meblami, przed którymi miłośnik antyków wpadłby w stan uniesienia. Stały tam pod ścianami piękno czeczotowe sekretarzyki i gruszkowe biblioteczki, wypiętrzała się finezyjnymi łukami oparcia simmlerowska kanapa w otoczeniu foteli i fotelików, ciągnęły oko serwantki, stoliki do kart, jednorożne gueridony, pięknie intarsjowany stolik do ręcznych robótek... A nad tym wszystkim, na ścianach pod samym sufitem, wisiały pociemniałe portrety antenatów Włodzimierza Chełmickiego. To była tylko niewielka część ruchomego dobytku, jaki udało się Chełmickim uratować z pożogi wojennej. Reszta spłonęła w czasie powstania, w warszawskim mieszkaniu, do którego przetransportowali większość mebli i zbiorów malarskich z majątku na Podlasiu w obawie przed zbliżającym ale frontem.

Dziadzio odnosił się do burz i nawałnic, jakie wstrząsały jego tyciem, w sposób filozoficzny. To znaczy - z pełną wyrozumiałością. Jako rolnik-praktyk, jeszcze przez wiele lat po wojnie pracował „blisko ziemi”, będąc inspektorem w górczańskim przedsiębiorstwie hodowli nasion. Jako artysta - ślęczał nad kolejnymi komediami; a cóż mogą obchodzić artystę - przynajmniej w dziewiętnastowiecznym rozumieniu tego słowa - niedogodności codziennego bytowania? Mówiąc szczerze, państwo Chełmiccy na starość przedli - pod względem finansowym - niezwykle cienko, ale znosili to mężnie i z wielką godnością. Poza tym - on pisał, ona malowała. Sztuka pozwalała im zachować pogodę ducha i dawała komfort psychiczny.

Kiedy go poznałem, Włodzimierz Chełmicki miał już dawno za sobą życiowy „Sturm und Drang periode” i nie odróżniał się od wielu innych starszków-inteligentów paradyjących latem w białych furazerkach i lnianych przydługich szortach po alejkach nałęczowskiego parku. (Mieszkał zwykle w przylegającej do Nałęczowa Bochofnicy, „u chłopca”, bp tak było taniej). Nikt by w nim nie odgadł niesforne go niegdysiejszego studenta czy dzielnego żołnierza uhonorowanego najwyższym rosyjskim odznaczeniem bojowym, człowieka, który słyszał na własne uszy wystrzały z dział „Aurory” i zgiełk bitewny towarzyszący zdobywaniu Pałacu Zimowego...

Urodził się na Podlasiu, w Starej Wsi w powiecie radzyńskim. Rodzina była dobra, ale, zdaje się, zubożała i pewnie dlatego nie kierowano go na przyszłego rolnika, lecz na handlowca. Na początku stulecia Włodzimierz Chełmicki ukończył w Warszawie handlową szkołę Rontalera, a następnie, w 1907 r., wybrał się na studia w Akademii Handlowej w Lipsku. Jednak po roku czmychnął z Lipska do Genewy, gdzie na tamtejszym uniwersytecie został słuchaczem Faculté des lettres. Potem, od 1910 r., studiował przez kilka lat polonistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim pod okiem prof. Chrzanowskiego. Z Krakowa w 1913 r. poniosło go do Paryża, a gdy wrócił stamtąd do kraju, wybuchła I wojna światowa i dziadzio, w szeregach armii rosyjskiej, trafił na front w randze szeregowca. Był ranny w walkach pod Stochodem i tam właśnie, „za chrabrost”, odznaczono go Krzyżem Św. Jerzego. Ten prosty w rysunku krzyż, zawieszony na pomarańczowo-czarnej wstążeczce, nadawany za szczególne męstwo na polu bitwy, był powodem do prawdziwej dumy, jego posiadacze cieszyli się ogromnym szacunkiem, nawet w czasach późniejszych, gdy upadł carat, przyszły nowe czasy i odznaczenia, i gdy stał się on już tylko tzw. „reliktem przeszłości”.

Po odbyciu rekonwalescencji Włodzimierz Chełmicki nie wrócił już na front. Dostał się do wojskowej szkoły inżynierskiej w Petersburgu. Tam zastała go Rewolucja Październikowa. Kiedy pytaliśmy go czasem podchwytliwie, czy brał udział w szturmie na Pałac Zimowy, dziadzio udzielał odpowiedzi wymijających...

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Chełmicki znalazł się w Warszawie, tam poznał swoją przyszłą żonę i tam się ożenił. Zadebiutował jako pisarz dramatyczny w wieku 34 lat. Czy przedtem coś już pisał, czy też „Wojna i miłość” była jego pierwszym pisarskim doświadczeniem, nie wiadomo. Debiut był późny, ale za to autor miał „dobre wejście”: sztuka Włodzimierza Chełmickiego była szóstą z kolei premierą „Reduty”, po pokazanych na scenie utworach Żeromskiego, Rittnera, Szaniawskiego, Zabłockiego i Orkana. Grano także „Wojnę i miłość” w teatrze dramatycznym we Lwowie. Potem już więcej nie była wystawiana, a maszynopis od wielu lat uważano za zaginiony. Dopiero ostatnio, podobno, natknął się nań profesor Uniwersytetu Śląskiego, były lublinianin, współpracownik „Kamieny” oraz długoletni dyrektor Muzeum im. Bolesława Prusa w Nałęczowie - Tadeusz Kłak. Odnalazł „Wojnę i miłość” w bibliotece-archiwum teatru dramatycznego w Katowicach.

Wanda Chełmicka była panną posażną. M.in. wspólnie z siostrą, Zofią Arkuszewską, posiadała podwarszawski majątek Krubki, położony między Miłosną i Wołominem. To same Krubki, w których w ostatnich dniach września 1939 r. stanął ze swym oddziałem major „Hubal” idący na odsiecz Warszawie. Piaszczyste, porośnięte lasami okolice sprawiały, że przez całą okupację Niemcy zaglądali rzadko na to „bezludzie” i właśnie dlatego w starym, nie istniejącym już działającym dworze z czasów Stanisława Augusta Poniatowskiego, położonym w pięknym parku projektowanym niegdyś przez Szucha, znajdowali w latach wojny schronienie

liczni przedstawiciele polskiej inteligencji. M.in. właśnie tutaj ukrywał się w 1943 r. Jerzy Zawieyski i tutaj napisał swoją powieść „Droga do domu”. Pisze obszernie o tym, i o innych wydarzeniach, współczesny krytyk literacki Tadeusz Drewnowski w swej wspomnieniowej, wydanej w 1982 r., książce „Tyle hałasu o nic?”.

Musiał i pan Chełmicki bywać podczas okupacji niejednokrotnie w Krubkach i kontaktować się i tamtejszymi „wojennymi” rezydentami...

Jak się już rzekło, „nie miał fartu” pań Chełmicki do sceny. Napisaną we Włoszech komedię „Kapitaliści” zakwalifikowano w 1938 r. do wystawienia w Teatrze Narodowym w Warszawie; miał ją w sezonie 1939/40 reżyserować Andrzej Cwojdzński. No, ale wybuchła wojna, a na dodatek jedyny egzemplarz gdzieś zaginął, i dziadzio już po wyzwoleniu musiał odtwarzać całą czteroaktową sztukę z pamięci. Taką tylko miał z tego satysfakcję, że fragmenty „Kapitalistów” opublikowała w 1957 r. „Kamena”. Podobnie - jak w kilka lat później - „Kamena” drukowała fragment kolejnej - komedii Chełmickiego, pięcioaktowego „Portretu”. Była to rzecz osnuta na tle życia znanej malarki Olgi Boznańskiej („Portret” poszedł „na fonii”, w lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia w 1962 r. Dziadzio „nosił się” z tą sztuką długo, i gdy tylko kogoś dopadł, deklamował mu całe obszerne partie tekstu. Dlatego w owym okresie znajomi starali się mu usuwać z drogi... Niestety, nie dokonała tego pani mgr Krystyna Podstawkova z Muzeum Lubelskiego, którą - wraz z koleżanką - przydybał dziadzio Chełmicki na ławce w Ogrodzie Saskim. Spacerowicze przystawali i spoglądali podejrzliwie na dość dziwną trzyosobową grupę: stary człowiek o szlachetnej posturze stał przed dwiema młodymi kobietami i celując w nie trzęsącym się palcem, wołał „oskarżycielsko”:

- To wy! To wyście go zabili!!!

Dopiero w 1962 r. - czterdzieści lat po teatralnym debiucie - ponownie uśmiechnęło się szczęście do pana Chełmickiego; 24 czerwca odbyła się w działającej przy Teatrze im. Osterwy scenie „Reduta 61” premiera jego jednoaktówki „Wróg w domu”. Była to czwarta premiera na niedawno powstałej scenie: po sztukach Sławomira Mrożka, Haliny Auderskiej i Zbigniewa Herberta.

Umarł Włodzimierz Chełmicki w sześć lat później, 8 września 1968 w rodzinnym Podlasiu, w... szpitalu w Łukowie. Gdzie go odesłano - jak się to mówi nieoficjalnie - „na wymarcie”, gdy stan starego człowieka nie rokował już żadnych nadziei, ale duch mimo wszystko wciąż krzepko trzymał się ciała, czyli somy, i pan Chełmicki blokował w ten sposób łóżko w lubelskiej klinice dla innych, rokujących nadzieją wyleczenia... Cóż, takie jest życie.

Pozostały jeszcze po stoiku z Podlasia dwie inne komedie: „Twarz i maska” oraz „Dolary”. A także maszynopis książki „Ludzie i zwierzęta” (napisanych w ostatnich latach

życia opowiadań-wspomnień), odrzuconej przez wydawnictwo jako nie nadającej się do publikacji.

Mnie zaś pozostała po Włodzimierzu Chełmickim jedna stara książka: gruby, poźółkły tom w półskórku, zatytułowany „Manuel de Litterature Francaise”. Podręcznik literatury francuskiej, opracowany przez prof. Charlesa Ploetza, a wydany przez Herbiga w Berlinie w roku 1894. Dom wydawniczy i księgarnia Herbiga miały swoje zagraniczne przedstawicielstwo m.in. w Genewie. I czasami myślę, że może książkę tę kupił dziadzio Chełmicki właśnie w Genewie, gdy studiował na Faculte des lettres, kiedy spłynęło nań uczucie Łaski, i porzuciwszy Merkurego, postanowił złożyć swe życie u stóp Melpomeny.

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 12, s. 3.